

Cóż to za z*Ach*wyt!

Naszą, nierzadko ponurą, egzystencją rządzą na zmianę dwaj szaleni bracia: wypadek i przypadek. O ile wypadków chcielibyśmy mieć jak najmniej w czasie swojej, wystarczająco przecież wyboistej, drogi, o tyle przypadki najczęściej witamy z radością, bo obiecują one istnienie jakiejś wyższej i mądrzejszej od nas siły, *logosu* i uporządkowania, których, na razie, nie widzimy wystarczająco wyraźnie. I tak oto *Ach* znalazło się w moich rękach zupełnie przypadkowo, prawdopodobnie nie sięgnęłabym samodzielnie po ten zbiór – niezwykle ciężko jest mi dziś wybrać z kolorowej półki coś wartościowego, ufając jedynie krzykliwej (lub, jak kto woli, krzyczącej – Kup mnie! Mnie kup!) okładce. Tak dużo przecież produkuje się dziś książek, a tak mało pisze.

Ach Jerzego Sosnowskiego należy zdecydowanie do tej drugiej kategorii. To bez wątpienia proza najwyższego lotu. Książka jest zbiorem dziewięciu esejów, napisanych z wdziękiem, płynnym, prostym i współczesnym językiem. Godny podziwu wydaje się fakt, iż autor nie ucieka ani od słów, ani od tematów, które wymagają dziś ogromnego wyczucia i wielkiej odwagi. Zarówno Bóg, jak i Kościół, człowiek i świątynia jego ciała zajmują równorzędnie nadrzędne miejsce w świadomości i w hierarchii Sosnowskiego. Bohater książki to zastanawiający się nad własną egzystencją i tożsamością *porte-parole* autora. Nieobcy jest mu „skandal” ludzkiego, tak kruchego ciała. Z wyrozumiałością traktuje człowiecze namiętności. Pochyla się też nad pozornie małymi, a w rzeczywistości jednak ogromnymi dylematami i trudnościami komunikacji między człowiekiem a człowiekiem, w szczególności między dwójką najbliższych sobie ludzi: kobietą i mężczyzną. Tragicznie bliski jest mu również czas, którego nie da się uchwycić, zatrzymać w miejscu i „anioły śmigające po

teraźniejszości i przyszłości”, i diabły, które „pluskają się jedynie w *plusquamperfectum*”. Bohater to człowiek, którego lubię słuchać, któremu, ku swojemu własnemu zdziwieniu, przytakuje częściej, niż mam to w zwyczaju.

„Żadnych łatwych pocieszeń” – tyle obiecuje Sosnowski. Pocieszać jest niezwykle łatwo, znacznie trudniej – mówić prawdę. I chociaż czasem ton autora wydaje się co najmniej podejrzany – zbyt bowiem poufały, pewny siebie – łatwo mu uwierzyć, tak, jak wierzy się nauczycielowi. Kiedy w eseju *Mały Lebidiew* Sosnowski prowadzi osobisty dialog z Bogiem, nie szczędząc gorzkich słów, mam wrażenie, że autor wypowiada się także w moim imieniu. Mimo że rzeczywistość daleka jest od Leibnizowskiego pojęcia teodycei i gołym okiem widać, że nie żyjemy w tym najlepszym ze światów, Sosnowski nie ocenia, a tym bardziej nie osądza, ani Boga, ani jego stworzenia, świadomy jest bowiem, że tak jak każdemu człowiekowi brak mu kompetencji i narzędzi, żeby chociaż podjąć taką próbę. I jeżeli Bóg milczy, to znaczy, że człowiek nie zniósłby potęgi jego głosu, i jeśli człowiek nie rozumie, to dlatego, że nigdy nie dane mu było zrozumieć. I to *de facto* nie jest „łatwe pocieszenie”, ten rodzaj akceptacji może osiągnąć jedynie ktoś, kto niósł swój krzyż wystarczająco długo, czasem niepokornie.

Bohater jako jeden z tych, którzy codziennie doświadczają szczególnego wrażenia obcości, „skandaliczności świata”, pomimo tego, że spogląda na uniwersum niczym na wielki spektakl, a Reżysera posądza o dość nietypowe poczucie humoru, rozumie jednak własną kruchość i nie zamierza uzalać się nad sobą. Doprawdy, rzadka cecha. Bohaterowi nie jest przecież dana „łaska głębokiej wiary”, zwalniająca od konieczności codziennego wątpienia i weryfikowania, na ile prawdy wiary przystają do rzeczywistości.

W eseju *Księga powrotu* autor opisuje, jak i dlaczego człowiek, Polak i katolik, odchodzi od społeczności Kościoła, a także w jaki sposób później do niej wraca. Stara się zrozumieć. Ten oto „ekspostkatolik” – jak Sosnowski sam siebie nazywa na łamach swojego internetowego Dziennika – jest pełen

niespotykanej tolerancji, nie tyle w ekumenicznym czy dogmatycznym rozumieniu, ile w zwykłym, ludzkim.

W eseju *Elsynor i Jerozolima (Zwycięzca bierze wszystko)* autor zatrzymuje się i pochyla nad osobistą tragedią Klaudiusza, wuja Hamleta, by po chwili spytać, czemu nikt nigdy nie zastanawia się nad przeszłością bratobójczego króla (nie zapominajmy, że od Szekspira do naturalistycznego teatru daleka jeszcze była droga). W czym jednak stary Hamlet był lepszy od Uriasza Chetyty i czemu Bóg miałby prędzej zbawić Dawida niż Klaudiusza? Na takie pytanie brak prostych odpowiedzi. Bohater widzi świat, w którym młodzi chłopcy boją się marzyć o dziewczynach, ponieważ wszczepiona im pod skórę katolicko-katechecka aksjologia co i rusz przywołuje obraz piekła, kadzi, smoły. Patrzy ze współczuciem na ludzi skrupulatnie zbierających swoje małe grzeszki, drżących na myśl o przerażającym pytaniu: „ile razy?”. Bohater spogląda na to z właściwym sobie rozczeniem i pyta, jak na jednej szali można położyć małe ludzkie niedoskonałości i nieludzką doskonałość Hitlera czy Stalina. Nie, tu nie wolno postawić znaku równości, w to wierzy bohater, a ja razem z nim. I znów niełatwym, lecz zawsze przecież pocieszeniem, okazuje się maksyma: „Jeśli możesz w całości nieść jarzmo Pana, będziesz doskonały; jeśli nie możesz, czyn, co możesz”. Nie da się ukryć, że Sosnowski, nawet *ex post*, w specyficznym rozumianym sensie, pozostaje katolikiem. Nie sposób temu zaprzeczyć, zbyt mocno bowiem autor nasycił *Ach* religijnymi akcentami, które jednak, o dziwo, nie drażnią (tak jak to ma miejsce chociażby w przypadku Coelho), są dyskretne i możliwe do przyjęcia, nawet dla sceptyka.

Silnie zaznaczony autobiografizm przeplata się w *Ach* z historycznymi odwołaniami, dzięki czemu w *Eseju dla Agnieszki* spotkać się mogą Agnieszka, dziewczyna (jak sądzę, Ukochana) najgłośniejszemu krzyżującemu na studenckiej manifestacji, tam „(...) na rogu Mostowej i Freta (...) trzeciego maja 1982 roku (...)”, i trzy z siedmiu kanonizowanych Agnieszek: męczennica zamordowana około roku 305, córka króla Czech, fundatorka klasztoru Klarysek w Pradze i

święta Agnieszka z Montepulciano. Jednak historia to tylko jedna z wielu fascynacji autora. Rozległe zainteresowania Sosnowskiego budzą podziw. Chwilami trudno stwierdzić, czy więcej w autorze *Apokryfu Agłai* historyka literatury, czy rasowego dziennikarza, ponieważ równie swobodnie porusza się on w tematach tak odległych od siebie, jak XIX wieczna literatura i nauki ścisłe, *vide* znakomity esej *Najpierw światło*. Przywołane przeze mnie przykłady nie wyczerpują rozległej problematyki zawartej w tym znakomitym zbiorze. To chyba jednak dobrze, bo moim zdaniem każdy powinien sam przeżyć tę książkę na swój własny i niepowtarzalny sposób.

Ach, cóż to jest za westchnienie rozpaczy, nad każdym małym człowieczym nieszczęściem kogoś, kto skandaliczność tego świata widzi w śmierci ukochanego kota. Łatwo nam dostrzec cierpienie, którego pełno wszędzie. Rzeczywistość staje się powoli coraz mniej przyjazna, telewizja oraz Internet – stale obecni goście naszej codzienności – dzień po dniu pokazują nam fundamentalistyczny świat, który wysadza w powietrze swoje fundamenty. Dzięki tym globalnym środkom masowego przekazu, z łatwością zajrzeć możemy w duszę matce płaczącej nad ciałem martwego dziecka na drugim końcu świata, lecz te same narzędzia utrudniają nam zauważenie cierpienia w oczach najbliższej nam osoby. Odebrano nam możliwość spojrzenia na siebie z dystansu, przyjęcia odpowiedniej perspektywy, której szuka i którą, być może, znajduje bohater *Ach*.

Ach, cóż to jest za zachwyt, nad każdym małym pięknem tego świata. Nad możliwością wzięcia oddechu nawet nie do końca pełną piersią, ale zawsze. Zachwyt ten jest o tyle wzruszający, wielki, co niespotykany. Rzadko człowiek naprawdę zastanawia się nad każdym przeżywanym ułamkiem swojego istnienia, nad każdą drobną chwilą swojej egzystencji. Biegnie, nie zawsze się rozgląda, czasem się potknie, zatrzyma, pozłorzeczy trochę na nierówny chodnik. Osaczony przez małe niedogodności spyta: czemu to właśnie JA, czemu MNIE właśnie to spotyka? A jeżeli to jedyne pytanie, na jakie go stać,

niech się nie spodziewa, że usłyszy odpowiedź. Jest przecież tyle piękna w każdej chwili, którą nam podsuwa czas. Pod sam nos. A my nie umiemy zauważyć. Boimy się westchnąć, a przecież... Ach, cóż to za ulga, kiedy można dostrzec w drugim człowieku boskość i schronienie.

Ach niesamowicie wciąga, lecz bywa wymagające. Oczekuje, że czytelnik zatrzyma się, odpocznie. Zastanowi chwilę. Niekoniecznie się zgodzi. *Ach* to książka niezwykła i warta przeczytania. I proszę wybaczyć recenzentce czołobitność i brak polemicznego nastroju, bo przecież, ach, trzeba przecież czasem w uznaniu chylić czoła.